

O PILNIEJSZYCH POTRZEBACH  
NASZEGO JEZYKA NAUKOWEGO

I O SŁOWNIKU  
ZOOLOGICZNO-BOTANICZNYM.

PRZEZ

ERAZMA MAJEWSKIEGO.

20/IX 1920

K. Gajl

~~428~~

510

**Dr. Kazimierz Gajl**

WARSZAWA.  
GEBETHNER I WOLFF.  
1886.

*E. W.*

K. 118.





W TEJŻE KSIĘGARNI.

ZNAJDUJĄ SIĘ NA SKŁADZIE GŁÓWNYM NASTĘPUJĄCE PRACE

E. Majewskiego.

P O T O P.

Szkie przyrodniczy z ostatniej doby dziejów kuli ziemskiej. Wyd. *Rs. kop.*  
2-gie, Warsz. 1883 . . . . . 1 —

MATERYAŁY DO FAUNY KRAJOWEJ.

*Owady żyłkoskrzydłe.* (Neuroptera Polonica). Systematyczny wykaz krajowych sieciarek i prasiatnic... i t. d. Warsz. 1886 . . . . . 1 —

INSECTA NEUROPTERA POLONICA.

Praca przedstawiona seceyi zoologicznej na 3-im Zjeździe Lek. i Przyr. w Krak. 1881 r. . . . . — 50

DO PRZYRODNIKÓW POLSKICH.

Odezwa w sprawie uporządkowania nomenklatury ojczystej w dziale ustrojów żyjących t. j. Zoologii i Botaniki. Warsz. 1884, (odbitka z „Wszechświata“) . . . . . — 15

O SŁOWNIKU NAZWISK

zoologicznych i botanicznych polskich. Warszawa, 1885 . . . . . — 15

KONIEC ŚWIATA.

Przegląd wypadków, jakie mogą sprowadzić zagładę ziemi. Szkie popularno-przyrodniczy . . . . . 1 50

O PILNIEJSZYCH POTRZEBACH  
NASZEGO JĘZYKA NAUKOWEGO.

*Dr. Kazimierz Gajl*





O PILNIEJSZYCH POTRZEBACH  
NASZEGO JEZYKA NAUKOWEGO

I O SŁOWNIKU  
ZOOLOGICZNO-BOTANICZNYM.

rzecz wypowiedziana

NA 90-M POSIEDZENIU KOMISYI PRZYRODNICZEJ DNIA 22 KWIETNIA 1886 R.  
W WARSZ. TOW. OGRODNICZÉM.

PRZEZ

*Erazma Majewskiego.*



20/ix 1920  
K. Gajl  
510

*Dr. Kazimierz Gajl*

WARSZAWA.  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1886.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 25 Октября 1886 г.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

**K. 118**



1000000000005

DRUK J. BERGERA ELEKTORALNA, 14.

<http://rcin.org.pl>





**K**orzystając z łaskawie udzielonego mi przez Szanownego Prezesa głosu, zamierzam zająć dziś uwagę Panów kwestyą ojczystego języka naukowego i zwrócić ją na obecny stan tej części języka, jaką oznaczamy mianem *nomenklatury*, zoologicznej i botanicznej.

Nie chcąc przemówienia mego na chwilę nawet zaprawić choćby cieniem polemiki, do której niespodzianie zostałem wyzwany przez Dra Rostafińskiego, przechodzę nad treścią tylko co przeczytanego przez prof. Deike'go listu, do porządku dziennego, zastrzegając sobie możliwość powrócenia do tego przedmiotu na najbliższem posiedzeniu, gdzie treść listu Dra R. będę mógł oświetlić materiałem faktycznym, zostającym w mych rękach w postaci korespondencyi mojej z autorem dzisiejszego listu.

Na teraz dość o tém, do zaprzątania bowiem uwagi Panów skłoniło mię głównie przekonanie, że mi nieodmówicie Panowie cennych wskazówek w pewnej specjalnej części zadania mojego, jakie niżej wyłożę.

Zanim dotknę tego przedmiotu niech mi wolno będzie odbiedz na chwilę od niego, abym wypowiedział kilka

ogólnych uwag o języku i pilniejszych potrzebach naszej mowy, a spodziewam się, że mieszcząc przedmiot mój w szerszych i naturalnych jego ramach przyczynię się do uwydatnienia jego szczegółów.

Powszechnie wiadomo czém jest mowa ludzka. Jest ona środkiem służącym do wyrażania i udzielania myśli. Stanowi ona jedną z najwybitniejszych własności człowieka, jest nawet koniecznym warunkiem w jego istnieniu. Język ludzki jest przytem zupełnie czemś inném, aniżeli wszelkie sposoby porozumiewania się zwierząt, a zasadniczą różnicę, już na pierwszy rzut oka widoczną, mamy w téj okoliczności, że język zwierząt, jeśli tego wyrażenia użyć wolno, jest dziedziczną ich własnością, że np. ptaki jednego gatunku, wyjęte z gniazd odległych i osobno wychowane, skoro tylko zbliżone zostaną do siebie, odrazu porozumieją się tak, jak gdyby społem się wychowywały. Język zaś ludzki nie jest bynajmniej władzą wrodzoną, dziedziczną; ale przeciwnie, nabywa się i doskonali stopniowo, pracą i usilnością mówiących jednostek. Zwierzę rodzi się z całym zasobem środków porozumiewania się z współbraćmi swego rodu, człowiek znowu całą sztukę mówienia nabywa od otoczenia, i zostawiony własnym siłom będzie zmuszony w potrzebach najprostszych nawet do posługiwania się co najwyżej grubemi giestami i wykrzyknikami, mocno do zwierzęcych głosów zbliżonemi. Języka zaś, tego magicznego klucza, otwierającego mu podwoje olbrzymiej świątyni myśli musi się uczyć, musi takowy zdobyć, każdy dla siebie i tylko dla siebie. Żadna dziedziczność niema tu miejsca, z równą bowiem łatwością polskie dziecię nauczy się języka chińskiego, jeśli będzie wzrastać wśród chińczyków, z jaką wśród bon francuskich nauczy się francuskiego i choćby 30 pokoleń przodków jego używało jedynie polskiej mowy, ono może nierozumieć ani słowa jednego.



Ponieważ całą wiedzę naszą nabywamy oraz przekazujemy za pomocą umówionych znaków, razem stanowiących mowę, jest ona przeto ważnym warunkiem cywilizacyjnym. *Doskonały język sprzyja cywilizacji, niewyrobiony tamuje takową.*

Ponieważ zaś język jest doskonałym narzędziem i nabywalnym t. j. niewrodzonym, przeto naród, nieposiadający nawet wyrobionego języka może podnieść się do poziomu na jakim pozostają narody o językach doskonalszych, jeśli powolną pracą pokoleń urobi sobie własny klucz, otwierający mu cały skarbiec cywilizacji, albo też jeśli porzuci niedogodne własne narzędzie i przyjmie obce doskonalsze.

Gdyby język był tylko środkiem porozumiewania się, a nie pewnym symbolem jedności, to bez zaprzeczenia ten ostatni środek zdaje się być najpraktyczniejszym. Poco urabiać z trudem nowe języki gdy istniejącymi można prędzej i łatwiej dojść do celu? Istotnie! byłoby bardzo dobrze, gdyby na całej kuli ziemskiej, mógł zapanować jeden powszechnie zrozumiały język. Ileżbyto nieocenionych korzyści spłynęło na ludzkość całą, a w szczególności na narody, spóźnione w umysłowym rozwoju. Ziemia stałaby się jedną wielką republiką, w której wszyscy mieliby jednakowe szanse do nabywania wiedzy, wszyscy posiadaliby jeden język, jedną literaturę, jedno wspólne narzędzie do nabywania wiedzy, wszyscy na jednym ołtarzu składaliby owoce prac swoich.

Czyż wobec téj równości niejeden ciemny murzyn nie dorównałby nauką najlepszemu Europejczykowi, nie przyczyniłby się skutecznie do postępu cywilizacji? Skrzępowany atoli ubogim językiem, wiecznie przykuty do ciasnych pojęć, na jakie mowa jego ma wyrazy, nigdy po za takowe daleko nie wybiegnie....

Oddawna niektórzy, wielcy nawet, myśliciele mając na widoku doniosłe korzyści dla całego rodu ludzkiego, próbowali rozwiązać kwestyę języka powszechnego. Jedni radzili przyjąć łacinę w części dla tego, że już niegdyś odgrywała rolę powszechnęj mowy filozoficznej, w części, że i dziś jest w wielu naukach używaną. Angielscy i francuzcy patryoci pragnęli każdy swój język wnieść do tój godności, a niemcy już dziś mówią o swoim, jako o „Weltsprache“. Gdy atoli już samo współzawodnictwo staje widocznie na przeszkodzie do urzeczywistnienia tych idealnych i zarazem samolubnych dążeń, zgody na tój drodze niema się co spodziewać. Proponowano też w różnych czasach rozmaite mowy sztuczne, łatwiejsze i racjonalniejsze od naturalnych, a do ostatnich prób tego rodzaju zaliczyć należy nowy język powszechny, Volapük, jaki Prof. *Schleyer* z Konstancyi, wypracował i gorliwie rozpowszechnia. Niewdając się tutaj w roztrząsanie praktyczności podobnych pomysłów, trzeba przyznać, że usiłowania takich Leibnitzów, Wilkinsów i Schleyerów, wraze urzeczywistnienia, zamilyby doniosłością wszelkie dotychczasowe tryumfy cywilizacyi; wątpić jednak należy czy na tój drodze dojdziemy do nich kiedykolwiek. Powszechna mowa zarówno naturalna jak sztuczna, zarówno taka co ma służyć w szerokim zakresie, jak stosowana tylko do międzynarodowohandlowych oraz naukowych stosunków, jakkolwiek bardzo pożądana, pozostanie na długo, jeśli nie na zawsze niewykonalném marzeniem, stoją jój bowiem na przeszkodzie potężne zapory, jakich nie usuną najlepiej nawet zorganizowane usiłowania cywilizowanych narodów. Nawet zaprowadzona raz mowa uniwersalna jeszczeby nie ziściła marzeń jój twórców, uległaby bowiem ogólnemu prawu ciągłego i wolnego rozwoju i na tyle rozpadłaby się narzeczy oraz szkół, tyloma napęłniłaby się synonima-



mi, że mieszkańcy ziemi po dawnemu wkrótce przestaliby się rozumieć. Nie sądźmy więc, że to może w blizkiej przyszłości nastąpić.

Ludy dopóki są narodami, choćby chciały nie mogą mówić jednym językiem, a cóż dopiero gdy nietylko nie mogą, ale wręcz *nie chcą tego*. W miarę bowiem jak środki komunikacyjne (kol. żel., telegr., szt. druk.) zbliżają ludy, skracają odległości, znoszą granice, sprzyjając zbrataniu się ludów, wobec tego wszystkie niemal oświeczone narody z podwójną gorliwością usiłują wznosić coraz wyższe mury graniczne, oddzielając się odrębnym językiem, niby sztuczną ścianą i utrudniając sobie wzajemnie obcowanie. I o całość wnoszonych zapór coraz więcej zdaje się ludom chodzić, bo z im większą zaciętością jedne usiłują sąsiadom burzyć, z tém większą usilnością napadnięci bronią całości swoich murów, tém gorliwiej szczyrby naprawiają!

I czemuż to narody i jednostki tak gorąco zajmują się kwestyą języka, czemu walczą o takowy, jak o największy skarb jaki? Cała tajemnica téj gorączki tkwi w okoliczności, że pojęcie języka połączone jest ściśle z pojęciem narodowości, że język odrębny jest najważniejszą cechą narodowości, jest krwią narodowe ciało opływającą, jak mówi Libelt, jest więc jój najdroższą własnością.

Skoro narodowości zamiast zacierać się coraz jaskrawiej występują na jaw, skoro współzawodnictwo narodów zwiększa się tylko i ogarnia coraz szersze pola działalności, niema nadziei, aby przyszła prędko epoka zrzeczenia się dzisiejszych ideałów, epoka panowania jednego języka (o jakim marzą kupcy i filozofowie). Musimy chcąc nie chcąc pogodzić się z myślą, że nie tylko istnieć będą jeszcze długo liczne języki, lecz nawet przybędzie ich więcej. Fakt to aż nadto wyraźny. Przeciw temu prą-

dowi separacyjnemu żaden naród dziś nie występuje, *nam zaś najmniej przystoi z nim walczyć.*

Dopóki więc kwestya języka jest kwestyą narodowości, dopóki w imię narodowości będą staczane walki i siane niezgody, dopóki na tem polu wyższa kultura nie pogodzi i nierozbroi ludów (wskazując im wspólne, a szczytne cele), dopóty narody, dbające o przyszłość swoją *muszą* szanować i otaczać troskliwą opieką swój język, *muszą* go bezustannie rozwijać i starać się aby mężniał, rozrastał się, oraz znajdował na stanowisku każdochwilowych potrzeb narodu.

Walka o byt wre zarówno wśród wysoko rozwiniętych języków jak i wśród pierwotnych, a choć okresy życia pierwszych są o wiele dłuższe, aniżeli drugich, to przecież w obu wypadkach walka kończy się pokonaniem słabszego lub też nie broniącego się.

Rozumieją to dobrze w całym ucywilizowanym świecie, wszędzie też Akademie, uczone stowarzyszenia i organa państwowe opiekują się rozwojem języka, dziś gorliwiej nawet aniżeli kiedykolwiek. Mógłbym na poparcie tego twierdzenia przytoczyć szereg dowodów najświeższej daty, ale rzecz to natyle jasna, iż obejdzie się bez argumentów. Więc zamiast tego powiem tylko, że i my musimy się pięć w górę jeśli nie chcemy upadać, że bierność nawet w pomyślnych warunkach jest najprostszą drogą do zagłady.

Język zmacony, w którym ten sam wyraz naukowy raz takie, drugi raz owakie ma znaczenie traci na sile i na wartości i choćby niegdyś świetnością zaćmiewał inne, nie może się ostać wobec doskonalszych i stanie się prędko mową pospółstwa, tracąc najpierw w dziale nauk, a potem w ogólnej literaturze prawa swoje.

Język nasz przebywa właśnie niebezpieczną epokę szybkiego rozwoju i to w czasie najniepomyślniejszym dla rozrostu. Wzbogaca się szybko i rośnie niemal w oczach,



ale mimo to nie tak jeszcze jakby *mógł* i jak *powinien*. Choćby tedy przyjąć, że rdzeń języka jest ustalony i dobry, to już same przybywające obszary wymagają wielkiej pilności i trudów, aby rozrost dokonał się według jednostajnego planu, aby świeżo zdobywane obszary nie okryły się chwastem.

Potrzeba koniecznie podjąć zbiorowemi siłami pracę około ustalenia języka, około wydzielenia zeń wszystkiego, co czystość jego zagraża, a dopełnienia braków, jakie wszyscy dotkliwie uczuwamy.

Rozumiemy, sądzę, tę potrzebę, pozwólcie więc Panowie, że dotknę tu kwestyi środków, z jakich pomocą potrzebę tę zaspokoić można. Jest ich dużo, bardzo dużo w różnych dziedzinach i żaden z nich lekceważonym być nie powinien. Między innemi *musimy znać stan naszego języka*. Gdzież mamy się udać w tej potrzebie jak nie do słowników? Słownik to inwentarz języka, on nas może objaśnić o bogactwie i brakach mowy, on objaśnia o rozwijaniu się języka, podobnie jak peryodycznie sporządzane inwentarze wskazują zwiększanie się lub zmniejszanie każdej majątności.

Posiadając szereg takich cennych inwentarzy w postaci różnych słowników mowy polskiej, począwszy od Mączyńskiego (w 1558 r.) i Knapskiego (r. 1621) a kończąc na słowniku *Wileńskim* (1861), możemy dostrzedz jak szybko rozwija się mowa nasza.

Jak bujnie rozrasta się drzewo naszego języka w ostatnim wieku, da nam miarę fakt, że słownik Lindego w swoim czasie najdokładniejszy, obejmuje 58,739 wyrazów, a słownik *Wileński* wydany w kilkadziesiąt lat po nim liczy już 108,500 wyrazów. Przyrost okazuje się największy w rzeczownikach, które są najistotniejszą częścią każdej mowy. Po *Wileńskim* niewydano już ogólnego słownika języka polskiego, *ale bez-*

wątpienia tę samą różnicę, jakąśmy znaleźli porównując słownik Lindego z Wileńskim znajdziemy kiedyś między tym ostatnim, a nowym słownikiem. Drzewo naszej mowy rośnie bowiem bardzo szybko i dziesiątek lat więcej dziś przysparza zmian, niż dawniej wiek cały. Powstają liczne konary, okryte świeżym, niezamieszczonym jeszcze w żadnym słowniku liściem, a zdobyczy przybywa wciąż, w miarę postępu umiejętności, za których treścią jak cień za przedmiotem powstają nowe wyrazy. Wraz z dobrem zieleń przybywa i chwastów, potrzeba więc rozgatunkować to wszystko co przybyło. Otóż i występuje na jaw potrzeba nowego słownika.

Nie myślę w tym względzie przeceniać doniosłość jego, najlepszy bowiem słownik, oraz prace wszystkich Akademij nie nauczą nikogo mówić, gdy ogół nie zechce dbać o czystość mowy, ale muszę wyznać, że, jako środek pomocniczy, nowy słownik jest bezwątpienia ogromnego znaczenia.

Jeśli w swoim czasie pracę Lindego uważano za tak olbrzymią i trudną, że wielu niewierzyło, aby ją mógł jeden człowiek stworzyć, jeśli nad Wileńskim pracowało już kilku uczonych, to łatwo zrozumieć, że dziś sporządzenie nowego i zgodnego z obecną potrzebą słownika nie byłoby łatwym zadaniem dla grona choćby najuczestniejszych językoznawców. Materiały tak urosły, nauki tyle posiadały dobrych, a tyle bałamutnych wyrażen; specjalizacja pojedynczych gałęzi doszła tak daleko, że i w pracy językoznawczej potrzebny będzie podział pracy, a dzieło, o jakim mówię, przewyższy rozmiarami i trudnością wszystkie prace poprzednie. Nie dojdziemy do niego idąc szlakami dawnymi. Podstaw do nowego słownika musi dostarczyć cały szereg monografii. Sam lingwista nic tu nie poradzi, musi go wesprzeć swą wiedzą prawnik, medyk, przyrodnik, filozof, teolog i pedagog, matematyk i fizyk, budowniczy



i mechanik, artysta, przemysłowiec i kupiec, słowem każdy fach i każda specjalność i to nie w krótkiej i ogólnej dyskusji, ale przy pomocy materiałów, opracowanych i przygotowanych zawczasu. Za podstawę do takiego słownika nie może już służyć, ani słownik Lindego, ani żaden inny, ale cały nasz dorobek umysłowy, cała literatura, wszystkie gwary i narzecza. Jak ma być wykonana taka praca nie miejsce tu zastanawiać się, wreszcie nie moja to rzecz.

Że dzieła takiego dotąd nie mamy, także nic dziwnego, ale zaprawdę byłoby dziwnem, gdybyśmy do posiadania jego nie dążyli, gdybyśmy potrzeby jego nie czuli. Gdy inne narody dawno już gromadzą materiały do słownictwa specjalnych umiejętności, nie godzi się nam zostawać w tyle choćby dla powodów, dotkniętych we wstępie. Gdyśmy wreszcie już przed 3 wiekami szli w naukach i umiejętnościach ręką w rękę z całą oświeconą Europą, gdyśmy w słowniku Lindego złożyli dowody tak wielkiego bogactwa mowy, jakie ją postawiło w rzędzie pierwszych języków świata; czyż przystoi pozwolić, aby nas dziś zawstydzono? Czyż mamy w wyścigu cywilizacyjnym pozostać na szarym końcu? Pamiętajmy, że podobna opieszałość częstokroć nie daje się później wynagrodzić. Pamiętajmy, że literatura i gruntowna znajomość własnej mowy, to mocne podwaliny pod gmachem języka żywego. Usuńmy je, a gmach prędko popęka i runie, postawmy trwale, a gmach przetrwa największe powodzie i burze nienaruszony!

\* \* \*

W ostatnich ustępach mego przemówienia wypowiedziane myśli, zdaje mi się, wyjaśniły pobudki, dla których przedsięwzięłem pracę, około ułożenia słownika nazw Zoologicznych i Botanicznych polskich, wyjaśniły zara-

zem związek jój z ogólnym ruchem na polu językoznawstwa krajowego; zauważyć tylko muszę, iż słownik mój jest dopiero przygotowaną pracą. Jest on obfitym, a jak mniemam, wyczerpującym nawet materiałem, ale tylko *materiałem*; z niego dopiero wyłonić się może i powinna inna praca, która ostatecznie rozwiąże zadanie. Zgodnie z powziętym planem załatwiam w słowniku moim jedną połowę zadania, pozostawiając drugą innym. Jednostka uczynić więcej nie jest wstanie.

Zadanie jest następujące: Historia naturalna olbrzymią posiada nomenklaturę. Poznano, uszeregowano i opisano setki tysięcy istot, a do ułatwienia pracy w tym ogromie utworzono powszechną nomenklaturę łacińską, zaprowadzającą zewnętrzny, niejako mechaniczny ład w nauce. Niezależnie jednak od naturalistów, a nawet dawniej od nich mieszkańcy wszystkich krajów, znając po swojemu przyrodę, umieją nazywać znane sobie istoty wyrazami własnego języka. Nomenklatury takie stanowią pokazną część wszystkich języków i są tém bogatsze im na wyższym stopniu cywilizacyi pozostają masy narodu. Zarówno w pedagogii jak i w użyciu praktyczném muszą istnieć te miana i nie dadzą się nigdy zastąpić łacińsko-greckimi.

Chcąc jednak, aby nomenklatura krajowa spełniała dobrze swoje zadanie, trzeba ją odnieść do powszechnej, porównać z nią i zaprowadzić stały związek między nazwami ludowemi, a nazwami naukowemi. Inaczej brak będzie koniecznego łącznika między nauką ścisłą, a wiedzą praktyczną, ludową. Jednym słowem, obowiązkiem przyrodników, dbałych o rozwój oświaty krajowej oraz samej nauki, jest przerobienie owego surowego materiału ludowego na naukowy język, w taki sposób, aby on spełniał w każdym kraju wśród ogółu tę rolę, jaką wśród uczonych całego świata spełnia uniwersalny. Każda więc nazwa krajowa przywiązana być powinna ściśle i wyłą-



cznie do jednej istoty, najpowszechniej pod tém mianem znanéj i wytłumaczoną być musi na mowę uniwersalną. W innych znaczeniach nie powinna być używaną. Muszę tu wtrącić małe objaśnienie.

Jeśli przyznajemy prawo obywatelstwa w nauce ścisłej nazwom krajowym, nie idzie zatém, aby zachodząc zadaleko chcieć w krajowym języku mianować każdą istotę, aby każdą nazwę łacińską mieć wytłumaczoną na język krajowy, jak to niektórzy zagorzali miłośnicy mów narodowych mieć chcieli. Broń Boże! to nie byłoby dążeniem do cywilizacyi ale do barbarzyństwa, nie byłoby rozwijaniem nauki, ale grzebaniem jéj pod stosem bezużytecznego i rozsypującego się balastu nazwisk, któremi i bez tego przeładowane są nauki biologiczne. Jestem też zdania, że tylko tam gdzie wypada mieć polskie nazwiska, trzeba je mieć, ale zato już mieć naprawdę. Muszą one być dobre, nie dwuznaczne, bo pozbawione tych zalet, będą zamiast ułatwiać naukę, najstraszliwszy w niéj rodzić zamęt, chaos, z którego nikt nie wybrnie.

Otóż posiadaniem tak odpowiedniej nomenklatury poszczycić się dziś nie możemy. Nigdyśmy jéj dobrzej nie mieli, ale w miarę wzrostu psuje się ona coraz bardziej. Podatności naszego języka i lekkomyślności pisarzy, zawdzięczamy *ogromne mnóstwo* nazwisk zarówno ludowych, jak książkowych, ale pisarze nasi zawsze tak dowolnie szafowali mianami krajowemi, tak mało uwzględniali prace poprzedników oraz język ludowy, tak wiele pozwalali sobie przerabiać i tworzyć, że z biegiem lat sformował się istny chaos, przyprowadzający prawdziwych miłośników ojczystej mowy do rozpacz. Chaos ten każdego sumiennego przyrodnika musi znużyć, złaćmać najlepsze chęci i w końcu zrazić do używania swoich nazwisk. Nie potrzebuję tego twierdzenia popierać

przykładami, bo każdy z Panów zna doskonale, iście rozpaczliwy stan naszej mowy naukowej i każdy mógłby łatwo setką przykładów dowieść, że nomenklatura nasza jest do niemożliwości poplątana, zresztą słownik mój na każdej karcie najlepszym jest tego stanu obrazem.

Nie o nowatorstwa też, nie o tworzenie nowych nazwisk, ani o utrzymanie takich, co nie mają w naszej mowie racji bytu mi chodzi, lecz jedynie o to, aby wydobyć bogaty i piękny nasz język z zamieszania, abyśmy ustalili potrzebne, a potępili i odrzucili błędne lub niepotrzebne wyrazy i nazwiska, których, niestety, mnóstwo mamy.

Otóż rodzi się pytanie jak sobie począc, aby dojść do powyższej wytkniętego celu?

Czy jest dziś kto mocen orzekać które nazwy są dobre, a które niewłaściwe? czy jest ktoś, coby znał wyczerpująco, jak potrzeba, całą nomenklaturę? coby znał choć jej połowę, lub część czwartą? Zdaje mi się, że niema takiego. Wskażcie mi zresztą, Panowie, przyrodnika sumiennego, któryby mógł powiedzieć: „znam nomenklaturę mojej specjalności.“ Zdaje mi się, że niema i takiego. *Całkowicie aby poprawiać i reformować trzeba przedmiot znać wyczerpująco, trzeba panować nad nim z całą ścisłością, wykluczając wszelkie wątpliwości.* W tej trudności leży pięta Achillesowa całego zadania, a najznaczniejszą część istniejącego zamętu zawdzięczamy właśnie dorywczym reformatorskim usiłowaniom, pracom co nie uwzględniając całości, poprawiały niby mianownictwo jednego działu, a naprawdę psuły coraz bardziej całość.

Nie rozumiem w ogólności jak można brać się do porządkowania, nie mając przed oczami całokształtu mianownictwa. Do rewizji i gruntownej naprawy języka naukowego najprostszą i zarazem jedyną drogą, mojem zdaniem, jest ułożenie dokładnego słownika, w którym alfabetycznie zostanie zgromadzony cały materiał w orygi-



nalnej jego postaci i znaczeniu. Dopiero wtedy stanie się on dostępnym dla specjalistów do krytycznego przeglądu, dopiero wtedy każdy z nich spokojnie zabierze się do opracowania swjej części, a jeśli jeszcze grono tych pracowników zechce działać w porozumieniu wzajemnym i przed przyłożeniem ostatniej pieczęci, porównają swe prace i usuną ostatnie niezgodności i dwuznaczniki, jakie mogą a nawet muszą się jeszcze trafić; jeśli, powiadam, uczynią to wszystko i połączywszy swe prace w jedną całość ogłoszą poprawną nomenklaturę, możemy być pewni, że stworzą dzieło trwałe i pożyteczne.

Dzieło takie stanie się naszą chlubą i stwierdzi, że umiemy działać „viribus unitis“, postawi ono znowu nasze mianownictwo u szczytu doskonałości, do jakiego mało który wzniósł się dotąd język. Dzieła takiego mamy prawo oczekiwać od naszych ciał uczonych, témbardziej, że podstawowy materiał do takiej pracy już został zebrany inicjatywą i pracą jednostki.

Interesując się kwestyą języka naukowego od pierwszych lat samodzielnych studyów przyrodniczych, nabrałem przekonania, że słownik o jakim mówię ułatwi znakomicie dojście do celu o jakim marzyłem. Zacząłem więc gromadzić powoli materiały z zamiarem przekazania ich później komuś, coby się zechciał zająć dokończeniem dzieła.

Trzeci Zjazd przyrodników w Krakowie 1881 roku sprawił, że się systematycznie wziął do opracowania pewnej części słownika, licząc, że pozostałe działy opracują inni. Gdym jednak w 1883 r. dowiedział się, że nikt pozostałych działów nie opracowuje, pokusiłem się o zebranie całego podstawowego materiału własnymi siłami.

Ponieważ nagromadzony materiał stał się niemożliwym do uzupełniania z powodu technicznych trudności, musiałem, aby go na nowo uczynić dostępnym, ulepszyć metodę pracy i rękopis przepisać. Obrąłem system kartkowy, jako najdogodniejszy i przeszło rok wraz z przepisywaczem pracując, cały ten chaotyczny materiał tak uszykowałem, że do każdej nazwy łatwo i prędko można trafić, oraz rękopis dopełniać bez trudności i ograniczenia.

Rezultat całej téj pracy macie Panowie przed sobą w postaci tych dwóch szeregów pudełek, zawierających alfabetycznie ułożone kartki.

Aby ten materiał zebrać przewertowałem niemal całą naszą literaturę przyrodniczą i językoznawczą, a w części i ogólną, o ile zawierała odnośny materiał. Do słownika więc mojego wcielony został materiał wyczerpnięty z dwustu przeszło dzieł, począwszy od XVI wieku aż do chwili obecnej wydanych. Spis tych źródeł znajduje się w załączonym Panom katalogu. Niektóre z nich są broszurkami, ale wiele należy do dzieł dużych, wielotomowych. Wszystko to, poczynając od starych zielników Falimierza, Spiczyńskiego, Siennika i od pierwszego słownika Miączyńskiego, a kończąc na „Wszechświecie“ i wydawnictwach ostatniego dziesięciolecia trzeba było przewertować, celem poczynienia wypisów nazwisk. (Prócz tego miałem w ręku chyba drugie tyle dzieł, aby się przekonać, że nic interesującego nie zawierają). Blisko *dziesiątą część* materiału otrzymałem w formie wyciągów, od kilku miłośników przedmiotu, którzy na odezwę moją, ogłoszoną przy „Wszechświecie“ w 1884-m roku czynnie odpowiedzieli.

Obecnie słownik jest o tyle wykończony, że mógłby już służyć do celów o jakich mowa. Jest on skarbcem, zawierającym wszystkie niemal istniejące w piśmiennictwie naszym nazwy, nie wyłączając najstarszych i najrzadszych.



Każda kartka zawiera osobne nazwisko, z odpowiednim mianem łacińskim, a objaśniając do jakiego działu należy nazwana istota, zawiera zarazem w skrótach wyrażony spis wszystkich autorów, którzy téj nazwy w tém samém znaczeniu używali. Są więc w tym zbiorze nazwiska raz tylko przez kogoś użyte, są powszechniejsze nieco, a dużo takich, co do których słownik stwierdza, że w jedném i tém samém znaczeniu były przez wszystkich pisarzy lub przynajmniej przez znaczną większość używane. W wyborze tedy między dwoma lub kilkoma istniejącymi już nazwiskami możemy się kierować liczebną przewagą i powagą pisarzy.

Słownik mój jaskrawo wykazuje ile już zmarnowano usiłowań, podjętych w najlepszych chęciach; ile bezpotrzebnie, w zbytku gorliwości lub przez nieudolność, natworzono nowych wyrazów, tułających się dotąd po książkach, których wyprzeć się będzie musiała mowa, pozbyć nauka i literatura! O wszystkich możemy w ciągu paru minut potrzebnych szczegółów zasięgnąć, a w razie niedowierzania, każde podanie łatwo u źródła sprawdzić.

Taki to materyał z możliwie największą dokładnością zebrałem, mając na względzie zarówno miłośników języka, jakoteż uczone grono przyrodników, dla których ten materyał ma posłużyć do wyrobienia poprawnej nomenklatury.

Rozpoczynając rzecz moją zaznaczyłem, że nie po to ośmieliłem się zająć Panów uwagę, aby Ich znużyć opowiadaniem, czego udało mi się dokonać, lecz po to, aby zasięgnąć Waszej światłej rady, co do najpraktyczniejszego zestawienia materyałów. Chodzi mi mianowicie o rozstrzygnięcie kwestyi, czy nazwiska zoologiczne połączyć z botanicznymi w jedną, w alfabetycznym porządku zоста-

jąca, całość, czyli też lepiej utworzyć dwa osobne słowniki: jeden zoologiczny, drugi botaniczny?

(„Sprawozdanie p. E. M. wywołało ożywioną dyskusję, w której przyjmowali udział oprócz sprawozdawcy, prezes Tow. Jerzy Aleksandrowicz, Dr Fr. Kamiński, p. K. Deike, p. A. Słóarski, Ed. Jankowski, I. Bogucki, M. Rozmysłowski.“<sup>1)</sup>)

Po objaśnieniu motywów pro i contra, wszyscy prawie uznali za praktyczniejsze połączenie obu działów słownika w jedną całość, co usuwa konieczność podwójnego szukania przy rozpatrywaniu i wybieraniu nazwisk.

W dyskusji Dr F. Kamiński porzucając kwestyą słownika dotknął kwestyi samej nomenklatury polskiej, twierdząc, iż minęły czasy, w których zajmowano się nomenklaturami narodowemi, dziś dość jest przyrodnikom, gdy posiadają jedną powszechnie zrozumiałą, łacińską, innych znać ani dbać o nie nie potrzebują. Z tego stanowiska wychodząc uważa całą moją pracę o której mowa, w pewnym względzie za zbyteczną. Wywiązała się ztąd żywa dyskusya wśród której zmuszony byłem i ja głos zabrać. Odpowiedź moja na słowa Dra Kamińskiego brzmiała mniej więcej jak następuje:)

Ubolewali niektórzy, że zadałem sobie ogromną, ale dziś już niepotrzebną pracę, gdyż minął jakoby zwyczaj używania nazwisk swojskich, że dziś każdy uczony badacz poprzestaje na łacińskich i to mu najzupełniej wystarcza.

I ja zgadzam się na ten pogląd o ile dotyczy on uczonych badaczy i ich stosunku do nomenklatury, ale zwrócić muszę uwagę, że po za uczonym przyrodnikiem, zatapiającym się w specjalne przedmioty badania, istnieje jeszcze naród, o którego potrzebach uczony specjalista może wprawdzie nie wiedzieć i nie troszczyć się o ich zaspokojenie, ale niemniej ponieważ na innych ten obowiązek spoczywa przeto odwozić takowych od wypełniania tego obowiązku, żaden poważny przyrodnik nie powinien.

Nomenklatura krajowa nie za nas powstała i nie za nas zginie, a żadne „nowe szkoły“ naturalistów nie zre-

1) Patrz „Wszechświat“ Nr. 18 r. 1886. Sprawozd. z 8-go posiedzenia Komisji. Str. 286.



formują języka i nie wyrwą zeń tej lwiej części, która stanowi z nim od wieków nierozłączną całość.

Stosować się w tej sprawie do poglądów uczonych, oddanych czystej, kosmopolitycznej wiedzy niepodobna i dla tego jeszcze, że wpadają oni sami ze sobą w sprzeczność. Twierdzą bowiem, że kilkaset, a nawet parę tysięcy nazwisk polskich, najpospolitszych, musi istnieć, używają nawet ich sami, a tylko resztę poczytują za niepotrzebną. Lecz, pytam, któż zakreśli granice nomenklatury i czy granice podane przez przyrodnika *A*, zostaną zaakceptowane przez przyrodników *B*, *C* i *D*? gdy każdy z nich, uprawiając inne pola poda odmienną listę *potrzebnych* nazwisk? A w rezultacie, gdyby połączyć i zaspokoić ich żądania czy załatwimy już kwestyę pomyślnie i ostatecznie? Mnie się wydaje, że ta droga nie doprowadziłaby do pożądanych rezultatów. Wszak kilku przyrodników nie stanowi jeszcze ogółu uczonych polskich, ani ogółu inteligencji. Wszelkie takie projekta nie źle mogą wyglądać tylko w teorii, w szczupłym kółku i w określonym czasie, praktyka co innego wskazuje, a ja pracę moję nie dla jednostek i chwili obecnej, ale dla ogółu podjąłem.

Kiedy już weszliśmy na pole dyskusji, niech mi wolno będzie poruszyć jeszcze jeden szczegół.

Usłyszałem tutaj zarzut, stawiany mi wreszcie i przez Dra Rostafińskiego, że wyprowadzam na światło dzienne mnóstwo nieudatnych fabrykatów Kluka, Wagi i innych autorów, który to materyał jest zbyteczną, a nawet może być szkodliwą częścią słownika.

Prof. Rostafiński ze szczególną surowością zwraca się przeciw Ukazicielowi Antoniego Wagi, którego radby widzieć pominiętym w moim słowniku. Na to muszę odpowiedzieć, że słownik mój ma być *surowym materyałem*, a takim nikt się nie gorszy, gdy jest z góry zawiadomiony,

\*\*

że to bynajmniej nie poprawny projekt, ale tylko zbiór wszystkiego, cokolwiek istniało w naszej literaturze oraz języku ludowym; zbiór dobrego zieleń i chwastów, zestawionych po to, aby tém łatwiej dało się dostrzedz i wypleć chwasty.

Powtóre trzeba pamiętać, że jeśli praca taka ma być *ściłą*, to już niewolno ję autorowi zabawiać się *w dorażne krytykowanie materiału* i odrzucanie tego, co mu się nie wydaje potrzebnęm.

Należy wybrać jedno z dwojga: albo być ścisłym i zaparłszy się osobistego zdania zebrać wiernie cały materiał, albo trzeba stać się krytykiem i działać dowolnie.

Niepodoba mi się Waga, pomijam jego dzieło, mogą mi się niepodobać nazwiska wprowadzone przez profesorów A, B i C i nie zamieszczam ich wcale. Czém będzie taka praca? Efemerydą, która nikogo niezadowolni, a sprawy ani na krok nie posunie, bo czyż ogół ma obowiązek zaakceptować dorażne moje wyroki, nie znając nawet ich motywów? Chyba gdybym był nawet najznakomitszym zoologiem, nikt mi nie udzieli tak nieograniczonego prawa decydowania o Zoologii i Botanice, i vice versa, a jednak radzi mi to Dr Rostafiński.

Skoro więc tylko podjąłem się jedynie zgromadzić materiał dla przyszłych sędziów, to już sądzę, że *niewolno mi* żadnych źródeł, żadnych autorów pomijać, nawet choćbym wiedział, że nazwy przez nich użyte będą później potępione.

Zresztą, ile to subtelnych trudności nastęrczy się przy sądzeniu tego materiału, łatwo ten oceni, co zada sobie pracę uważnego przejrzenia choćby kilkudziesięciu kartek rękopisu mego słownika.

Na zakończenie muszę nadmienić, iż coraz jaśniej spostrzegam, że idealny mój plan dalszym jest od urzeczywistnienia, aniżeli pierwotnie mniemałem, mimo to, nie



uważam pracy za zmarnowaną lub niepotrzebną. Owszem, przyda się ona témbardziej wtedy, gdyby długo przyszło czekać na zbiorową i doraźną rewizję naszej nomenklatury, bo czynność, którą miała wykonać *prędko i stanowczo* komisya mianownicza, spadnie na wszystkich przyszłych autorów polskich. Oni to, wybierając ze skarbcza co najlepsze, wydadzą powolny ale stanowczy wyrok na wadliwe i zbyt liczne miana, a uświęcą trafne i potrzebne. Gdyby nawet w niejednym pobłądzili, to i tak, ogół, decydujący w ostatniej instancyi przyjmie trafne, odrzuci chybione miana.

Doskonalenie się nomenklatury tą naturalną drogą odbywa się ciągle, odbywa się i teraz powoli, ale stanie się pewniejszém i szybszém przy pomocy środka jaki podaję. Skończyłem.





KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT

GEBETHNERA I WOLFFA,

POLECA NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

- BAIN ALEKSANDER.** Nauka wychowania. Przekład z angielskiego, pomnożony rozdziałem o wykładzie języka polskiego, rs. 2 k. 25.  
— Umysł i ciało. Mniemanie o ich wzajemnym stosunku. Przekład z angielskiego rs. 1, niż. kop. 50
- BOBRZYŃSKI MICHAŁ.** Dzieje Polski w zarysie. Wyd. 3-cie na nowo przejrzone i przerobione (w druku).  
— Kazanie sejmowe Skargi, wykład publiczny miany w Krakowie, 8-ka, Kraków, k. 20.
- BREHM.** Życie i obyczaje zwierząt według Brehma i innych źródeł najlepszych, przez Niewiadomskiego, z 40-ma rycinami na tonie i licznymi drzeworytami w tekście, rs. 3 k. 60, w ozdobnej płóciennój oprawie, rs. 5 kop. 40.
- BRODZIŃSKI KAŻM.** Pisma, wydanie zupełne, poprawne i dopełnione z nieogłoszonych rękopisów staraniem J. I. Kraszewskiego, 8 tomów, 8-ka, Poznań 1872 - 74, rs 8, w ozdobnej płóciennój oprawie rs. 12.
- CHMIEŁOWSKI DR. PIOTR.** Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki z dwoma portretami A. Mickiewicza, 2 duże tomy, 8-ka, 1886, rs. 5, w oprawie rs. 6 k. 60.  
— Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, zarys literacki. Wydanie 3-cie. Kraków, 1886, rs. 2, w oprawie rs. 2 kop. 50.
- COSTE ADOLF.** Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli higiena socyalna. Dzieło odznaczone nagrodą pierwszego stopnia na konkursie Pereiry, w 1882 roku, 1886, rs. 3 kop. 60.
- CZERMAK W.** Sprawa Lubomirskiego, w r. 1664, rs. 1 kop. 20.
- DUBIECKI MARYAN.** Kudak, twierdza kresowa i jej okolice. Monografia historyczna nagrodzona przez Akademię Umiejętności w Krakowie, 8-ka, kop. 90.  
— Obrazy i studia historyczne. Serya I, 8-ka, 1884, rs. 2.
- DZIEDUSZYCKA A.** Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych, wydanie 2-gie, 8-ka, rs. 1.
- FIGUIER LUDWIK.** Historia roślin, dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanemi, z franc. przeł. objaśnił i licznymi dodatkami powiększył autor „Flory polskiej“ 3 tomy, 8-ka, rs. 6.
- FREDRO ALEKSANDER HR.** Komedye, wydanie 4-te, z portretem autora, 5 tomów, 12-ka, rs. 1 kop. 50, w oprawie rs. 3 k. 50.  
— Dzieła. Nowe zupełne wyd., z portr. autora, 12 tomów, w 8-ce, rs. 24, w oprawie ozdobnej rs. 31 kop. 20.
- FREDRO JAN ALEKSANDER HR. (syn).** Komedye. Drugie uzupełnione wyd. z portretem autora, 4 tomy w 12-ce, rs. 4, w ozdobnej oprawie rs. 5 k. 60.
- GADOMSKI JAN.** Larik, tragedia, 1886, kop. 80.





- GAWALEWICZ MARYAN.** Komedye jednoaktowe i monologi. Serya I, rs. 1 kop. 20.
- GOPLANA.** Zbiór poezyi celniejszych autorów, w ozdobnej oprawie rs. 1 k. 35.
- HUEBNER BARON.** Sykstus V-ty, według korespondencyi dyplom. niewydanych, znajdujących się w Archiwach: Watykanu, Simancas, Wenecyi, Paryża, Wiednia i Florencyi, przekład St. Stroynowskiego, 2 tomy, w 12-ce, rs. 3.
- J. DR. ANTONI.** Nowiasty kresowe. Opowiadanie historyczne, 8-ka, 1883, rs. 1 k. 50.
- Opowiadania historyczne. Serya III, 2 tomy, 8-ka, rs. 3.
  - Opowiadania historyczne Serya IV, 2 tomy, 8-ka, rs. 4.
  - Zameczki podolskie na kresach multańskich. Wydanie 2-gie, przerobione i powiększone przez autora, 3 tomy, 8-ka, rs. 5. Treść: Kamieniec nad Smotryczem.—Żwaniec.—Paniowce.—Czarnokozińce.—Bar.—Mohylów.—Szarogród.
- JAROCHOWSKI K.** Nowe opowiadania historyczne, 8-ka, 1882, rs. 3.
- Sprawa Kalksteina 1670—72. Opowiadanie historyczne, wydanie wznowione, 8-ka, kop. 80.
- JACOLLIOT LUDWIK.** Tajemnice Afryki. (Ostatni statek niewolniczy.—Bohater puszczy.—Stolica stepu). Przekład z francuzkiego K. Jurkiewicza, ozdob. 32 ilustryami, 8-ka, 1882, rs. 2 kop. 50, w ozdobnej płóciennój oprawie rs. 3 k. 50.
- KANTECKI KLEMENS.** Artur Grotger. Szkic biograficzny, 8-ka, Lwów, rs. 1 kop. 80.
- Sumy Neapolitańskie. Opowiadanie historyczne, 8-ka, 1881, rs. 1 kop. 80.
- KARASOWSKI MAURZYCY.** Fryderyk Chopin. Życie.—Listy.—Dzieła. 2 tomy, 8-ka, rs. 3.
- KARWICKI JÓZEF DUNIN.** Szkice obyczajowe i historyczne, 8-ka, rs. 1 k. 20.
- KLACZKO JULIAN.** Wieczory florenkie. (Dzieło uwieńczone przez Akademię francuzką). Z upoważnienia autora tłómaczył St. Tarnowski. Wydanie 2-je poprawne. 1884, rs. 1 kop. 50 w oprawie rs. 2.
- KLEJNOTY POEZYYI** polskiej wybrane z dzieł najznakomitszych dawnych i nowoczesnych poetów przez A. F. W. 32-ka, w oprawie w płótno angielskie rs. 1 k. 20, w oprawie ozdobniejszej rs. 1 k. 50.
- KOCHANOWSKI J.** Dzieła polskie wszystkie, 2 tomy, w 8-ce, Lwów, w oprawie rs. 2.
- KOBIETA W POEZYYI POLSKIEJ.** Głosy poetów o kobiecie przez autora Antologii polskiej, z 8-ma ryc. E. Andriollego, 8-ka, Kraków-Warszawa, 1885. W ozdobnej oprawie brzegi złożone rs. 5
- KONOPNICKA MARYA.** Poezye, 12-ka, wydanie 2-je, 1883 rs. 1 kop. 50, w ozdobnej płóciennój oprawie rs. 2, ze złożonemi brzegami rs. 2 kop. 50.
- Poezye. Serya 2-ga, 12-ka, rs. 1 kop. 50, w ozdobnej oprawie rs. 2, ze złożonemi brzegami rs. 2 k. 50.